



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Tatarzy na weselu

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Tatarzy na weselu

Czemże to są nasze dzisiejsze wesela w miarę dawnych? Śmiesznymi tylko naśladownictwami. Nie przywiązujemy już do nich tej wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego znaczenia, ani tak wielkiej pamiątki.

Dawniej raz się człek rodził, raz żenił, raz umierał, ślub był węzłem nierozzerwalnym, to też wesela wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty, jak urodziny lub też śmierć.

Prawda, że dawniej tylko dla formy mówiono na weselu o sercu lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia zapewniały pokój, zgodę i to ciche a stałe przywiązanie, które jeszcze widzimy czasem w parach nierozłącznych staruszków służących tylko za pośmiewisko ludziom naszego wieku.

Przed kilkuset laty a jeszcze na dworze wielkich panów to to były wesela!

Samo ich wspomnienie świeciło, jak gwiazda, w życiu pary pobranej do dni ich schyłku.

Były to gody wesole, szumne, pyszne, mające swój obrzęd narodowy, niewzruszony i upoważniony odwiecznym zwyczajem obrzęd pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych warstw ludu pozostały.

Właśnie o jednym z takich wesel dawnych chciałbym wam powiedzieć. Nie, żebym je opisywał, bo któż się od razu całego obrzędu nie domyśla? i przemówień, i uczyty, i huku dział i muzyki, i rozczulającego błogosławieństwa starych? — lecz dla jednego godnego w niem pamięci szczegółu.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, wojewoda kijowski, marszałek wołyński, starosta włodzimierski, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic ogromnego księstwa, gotował się sprawić w jednym ze swoich zamków, dubieńskim, wesela księżnie Beacie Dolskiej, powinowatej i wychowawicy swojej, którą wydawał za księcia Sołomereckiego.

Obie te książęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, wówczas jeszcze świeciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie i — zgasła z tylu innemi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubieńskim.

Liczny zjazd gości sproszonych zdaleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnej, życzliwej domowi książąt Ostrogskich, zawałał koźmi, kolebkami (karetami) i ciżbą pacholąt podwórce zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbierali z różnych ulic miasta, nie dając nawet przyskrzypnąć wrót zamku.

Był to sam ranek dnia weselnego, ranek styczniowy śnieżysty i ponury, powietrze niosło ze sobą wilgoć, wylizy ziemi i ciężło w piersiach. Słońca nawet nie widać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy nie stosuje się do czynności i uczuć, choćby najznakomitszych ludzi.

Rzadko bardzo ulubieńcom losu świeci słońce pogodne w ich dni uroczyste, i to historia między cudy swoje zapisuje.

Kurczyli się od zimna przenikliwego śludzy na podwórku i u wrót zamku pokrzepiając się suto dostarczonym napojem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku, pochodzące od pory, i wesołość sztuczną, jaką napitek wymusza na biednych, słabych głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela: nie było kąta gdzieby go znać i czuć nie było; wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zacząwszy od kuchni, pałającej ogrom-

nem ogniskiem, gdzie kuchmistrz spocony chrypl od krzyku nad czterema sosami aż do komnat panny młodej i pana młodego.

Mężczyźni zebrani gadali, śmiali się i pokrzepiali śniadaniem a że nie było we zwyczaju XVI wieku u wyższej warstwy grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek o wojnie, turniejach i koniach rozprawiając.

Księżę Sołomerecki, blady, młody, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko się uśmiechał.

Coraz poprawiał na sobie paradnego ubioru, na którym guzy brylantowe i złote błyszczwały kutasy; ścisnął rękę suto wysadzonej karabeli, odrzucił wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Małeńki jego wymuskany wąsik poruszał się uśmiechem, którym odpowiadał na wszystkie pytania.

U progu stał w nieładzie podróżnym zbrojny kozak ukraińiec, z osełdkiem (rodzaj warkocza z przodu głowy) zwieszonym, zbrojny w koszulę drucianą, szablę, rusznicę, janczarkę, łuk i strzały, z nożem u pasa, z workiem kul, z chustką paradną w wielkie kwiaty, z worem skórzany na wodę, nahajką, długim sznurem jedwabnym, prochownicą i mnóstwem innych drobnostek, składających dawne uzbrojenie kozaka.

Mowę miał posępną i zamysłoną, wszyscy go pytali i zaczepiali, a on z wolna, lecz śmiało w swoim rodzinnym języku odpowiadał.

— I jakże — odezwał się ktoś z tłumu — są wieści o tatarach?

— Tak jak każdej prawie zimy, gdy wody staną — odparł kozak — gadają oni i wygadają. Ciągną się gdzie dolinami chyłkiem.

— Którędy?

— Kto ich wie! Bóg jeden, co tę plagę zsyła. Jak przyjdą, będzie się dymić za nimi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś, jak krety, postrzedz ich nie można. Może się już ciągną złodziejską doliną.

— Wieleż ich być może?

— Jak zawsze tyle co szarańczy, a więcej jeszcze koni niż ludzi, bo u nich i konie się biją, gdy u nas ludzie nie wszyscy potrafią.

— Widział ich kto? czy to tylko słuchy zimowe?

— Do tej pory słuchy tylko, ale kto się boi, daleko widzi.

— U stracha wielkie oczy — dołożył książdz Makary, kapelan. — Niech księżę pan pośle po język.

I na tem ucięła się rozmowa a odprawiony ukraińiec wyszedł.

Księżę zaś zaraz polecił swoich kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady dolinami i zwykłym tatarów szlakiem.

Wieść o tatarach spadła wśród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku.

I znowu od komnaty panny młodej aż do kuchni i zwodzonego mostu, wszystko ją powtarzało, i wszystko drżało od niej; bo tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, gorsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba.

Ażeby wesela nie zamroczyć, zakazał księżę wojewoda mówić o tem kobietom. Zakazał; — był to właśnie sposób doprowadzenia jak najprędzej tej wieści do ich uszu.

Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szepotali, tak rękoma machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli pokazać gryzącą ich w głębi tajemnicę, że nareszcie domyślnie z natury poczuły ją kobiety.

Zony od mężów prędko się »pod sekretem« dowiedziały, o co idzie, potem przyjaciółki przyjaciółkom jak zaczęły podawać z ust do ust wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodej, gdzie właśnie księżnie Beacie czarne jej długie rozpuszczano włosy dawnym zwyczajem słowiańskim.

Nie wiem, jak wam opisać pannę młodą.

Nie była ona ani piękna, ani wdzięczna, wysoka, blada, czarnobrewa, poważna, choć młoda jeszcze zupełnie się różniła od męża, który przy niej podobny był przebranej niewieście. W oczach jej tylko błyskał niezwykły ogień zapału, męstwa, wytrwania, stałości. Czoło wzniosłe, gładkie, spokojne, zdawało się wielkie myśli i piękną duszę pokrywać, usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, nie otwierały się na próżne słowa, a rzadziej jeszcze na uśmiech.

Cóż mogło łączyć tak różnorodną nowożeńców parę??

Oto — wola krewnych.

W ich sercach nic się nie działo, nic nie biło, nic nie wrzało, żadna namiętność, żaden pociąg.

Ich ręce nie spotkały się i nie zadrzały przed związaniem u ołtarza; byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo nie mieli trującej przyszłość przeszłości, ani wstrętu do siebie; a ówczesny zwyczaj dawno ich do podobnego połączenia przygotował.

Kiedy panny służebne i družki gwarzyć około księżnej Beaty zaczęły i, przestraszone tatarami, zapomniały złotych szpilek w aksamitnych poduszkach, spoglądając po sobie ze drżeniem, księżna Beata, jakby ocucona z myśli głębokiej, zapytała:

— Cóż się stało?

— Nic dotąd, księżna pani — odpowiedziała, zająkując się — ale, ale mówią, choć książe wojewoda mówić o tem zakazał, że tatarzy idą.

— Tu idą?

— Ach? zapewne tu? Óma słyszę niezliczona! Ja się tak strasznie boję tatarów! — szczebiotała dalej. — Takie poczwary ogorzałe z przypląszczonymi nosami, ze ślepiami czarnymi, z odstającymi uszami, co się rodzą ślepem, jak szczenięta, żyją końskim mięsem i w Świętą Trójcę nie wierzą! o, jak ja się ich boję!

— A ja nie — odpowiedziała panna młoda, odrzucając włosy — bo pierwszego, coby do mnie śmiało przystąpić, pewniebym zadusiła.

Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły.

— Wzięliby nas i odesłali do seraju sultana swojego, ci ohydni poganie — mówiła družka — a choć cudy o nich prawią, niech nas Bóg wcielony od tych rozkoszy broni a naprzód od ich wiary pogańskiej, wedle której, jak ksiądz Makary powiada, kobiety nie mają duszy.

— Nie mają duszy, panno Stanisłavo — zawołała księżna — a czemużby żyły! prawdziwie pogańska ślepotą!

— I takim to ludziom możemy się dostać w ręce! — szeptały panny.

— Kto? my? — znowu odpowiedziała księżna. — Alboż tu niema zamku, dział i ludzi, alboż nie ma wody w Ikwie i pasa u sukni, żeby się w ich oczach udusić.

— Ale ich tyłu!

— Nas mało, ale z nami Bóg chrześcijan i walczyć będziemy na swoich śmieciach.

Na te słowa pełne zapału a tak niezwykajne w ustach kobiety, wszedł książe wojewoda.

— Niech żyje bohaterka! — zawołał całując ją w czoło. — tak mówić, tak myśleć trzeba, a nigdy u nas tatar nie będzie! Ale zresztą, moja panno, jeszcze oni zapewne daleko, bo to są tylko głuche wieści. My tymczasem myślimy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na *vivat*, niech wówczas idą, a przyjmujemy ich dobrze, na rany Chrystusa!

W istocie nie bardzo było czego się bać w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania, ta warownia, której później Chmielnicki próbować nawet nie chciał zdobycia, była dość mocna. Dokoła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich rowów niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowemi nie mogło. Trudno także było zapaśne zamczysko dostać głodem, a tatarzy, którym spieszny był powrót, nigdy tego próbować nie mogli.

Tymczasem gdy w zamku rozprawiają o tatarach; gdy się śnieżyste tumany rozrzedzają i dzień wyjaśniać zaczyna; gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i żydów: w cerkwi zamkowej stroją ołtarz do ślubu, a w zamku ucztę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

Ach, gdzież się podziały te dawne gościnne biesiady, na których pan, sługa jego, koń i pies, jak zesłańcy od Boga, przyjmowani byli, czem stało, co było! Dzisiejsi dawnych słowian potomkowie przyjęli już obce obyczaje, handlarskie, nikczemne, skąpe i zimne — ale szkoda dawnych, bo dawne nie były europejskie, nie były tak wykwiłtne, a szersze za to i pocziwsze. Dawniej egoizm musiał się ukrywać i wstydzic, dziś się ze siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu pokój.

Miarkujcie, jaka być mogła biesiada księcia wojewody, pana na Ostrogu, który miał dziesięć milionów rocznego dochodu który za marszałka dworu trzymał jednego ze starszych wojewodów, placąc mu siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby stał za jego krzesłem

w dni uroczyste, którego orszak zwyczajny dwa tysiące doborowej szlacheckiej młodzieży składało.

W wielkiej sali godowej, po której ścianach rozwieszono były obrazy familijne i niektóre zdobyczne wojenne, zastawiono długie stoły nakształt podkowy, okryte trzema wedle zwyczaju leżąciami na sobie obrusami szytymi, na których kurzyło się już pierwsze danie. W oddaleniu nieco połyskiwał niezmierną mocą sreber kredens za balustradą, przed którym stały stopy talerzy, półmisków, puharów i złocistych roztruchanów.

Nad wielkimi drzwiami wchodu, na wysokiej galerji, ustawiona była muzyka i śpiwacy chłopięta.

Przy jednym z okien sali osobno zastawiono stolik suto założony mięsiwem dla nadwornego żarłoka Bohdana, który na dzień za trzydziestu zjadał i ze trzydziestu mógł się w potrzebie mierzyć. Było tam takie mnóstwo mięsiwa pieczonego i gotowanego, że ledwie uwierzyć było można iż to wszystko pożre jeden miernego wzrostu człowiek, niezbyt nawet otyły.

Goście weszli do sali jadalnej — panna młoda tylko się nie pokazała. Za nimi słudzy i dworzanie wtoczyli się, mający stanąć za stolkami panów. Podano naprzód gościom z kolei wielką złocistą miednicę i nalewkę podobną, do umycia rąk, a nareszcie ręcznik, suto po końcach szyty perłami. Marszałek dworu rozsadził ich wedle dostojenstwa i tak przystąpiono do pierwszego dania, które składały pływające we czterech sosach: żółtym, różowym, czarnym i szarym, spore mięsa kawałki. Trzech krajczych u każdego stołu posługiwało. Oprócz tego, rozstawione było pieczone i przyprawy korzenne, licząc w nie narodowy chrzan z octem, kapustę kwaśną i ogórki. Goście, mało co przedtem śniadawszy, niewiele jedli sami, lecz nakładali z górą talerze i oddawali je sługom stojącym za nimi, którzy tuż zaraz za ich krzesłami głośno podane potrawy spożywali. Przed każdym ze siedzących był talerz srebrny, nakryty maleńką serwetką, i łyżka srebrna pozłocista. Popijano piwo tylko w długich kielichach szklanych.

Po pierwszym daniu zdjęto je razem z pierwszym obrusem, a drugie zastawiono, ze samych pieczeni różnego rodzaju składające się, zwierzyny, ptastwa i ryb. Mimo wspaniałości uczyty spostrzedz można było także na stole dziś bardzo wzgardzony groch ze słoniną i kaszą krajową. Nakoniec nastąpiło trzecie danie, ze samych łakoci złożone. Tu dopiero zaczęły się toasty za przyszłe powodzenie państwa młodych.

Gdy już do ust niesiono kielichy, a muzyka i móżdżerze połączyły się z wykrzykiem: — *Pierwsze zdrowie!* — nagle z dziedzińca ozwał się głos, nie *vivat* wykrzykujący nie radosne hurra! lecz krzyk przestachu, który, stłumiwszy wszystkie, skamienił gości i wytrącił z rąk ich puhary.

Wybłądły kozak wpadł do sali.

— Książę — zawołał — tatarzy! — i padł z osłabienia i przestachu.

Wszyscy porwali się od stołu; gwar, krzyk, zamieszanie, ścisk i zgiełk się zrobił po całym zamku. Wszyscy wołali: — Tatarzy! tatarzy!

Książę Sołomerecki pobiegł do narzeczonej swojej.

— Idź do szabli i konia! — odpowiedziała i znikła.

Strwożony wyjrzał oknem.

Na błoni za lodami Ikwy, pod lasem, warczał i rozwijał się zagon niezliczony tatarów, który, złodziejską doliną blisko Dubna, niepostrzeżony doszedłszy, nagle wpadł pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych po język. W oddaleniu rozeznac nie można było liczby, powiększonej końmi luźnemi, które tatarowie zwykli byli ze sobą prowadzić dla odmiany — szarzał tylko ten tłum, posuwając się coraz bliżej.

Książę zbiegł na dziedzińce.

Tu siodłano konie, wyciągano działa, zwodzono mosty, lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wiodąc z sobą bydło, konie, wozy.

W monasterze Świętego Krzyża bił dzwon na trwogę ponuro a spieszenie — przestach był nie do opisania.

Książę-wojewoda zimny, nieporuszony stał na podwórcu i dawał rozkazy gładząc brodę.

Niewielkie hufce gromadziły się kolejno w milczeniu; wszyscy służalcy przybyłych gości siadali na koń, gotowali oręż.

Książę Solomerecki milcząco stanął przy nim i patrzył mu w oczy.

Tymczasem tłuszcza tatarska coraz się zbliżała pod zamek z krzykiem, a raczej piskiem okropnym, nieregularnym tłumem postępując, opasywała warownię, zapuszczając się w opuszczone już prawie przez mieszkańców przedmieścia. Niektórzy murzowie z oddziałami pobiegali pod mury, które oczyma mierzyli, a strzały ich, jak posłańce boju, padały nawet na podwórzec zamkowy; inni, potrząsając długie sznury, przygotowane na jeńców, pokazywali je stojącym na zamku.

Tabor z wozów siadał na dolinie, rozbijano kilka lichych nad wozami namiotów. Wszystko to działo się z nieporównaną szybkością, ale mieszkańcy zamku dość spokojnie na przygotowania patrzyli.

Sposobiono kamienie, wodę wrzącą, nabijano działa, rozstawiano naokół strażę, mocniejsze po bastyonach i bramach a hufce tam, gdzie grubsze lody mogły dopomóc do wdarcia się na zamek tatarom.

Z tej uczyty weselnej, wrzącej wesołością, w jedną chwilę zrobiło się przygotowanie do boju smutne, a przynajmniej poważne i posępne.

Panny i kobiety modliły się po oddalonych komnatach i w cerkwi modliły się i, łamiąc ręce, płakały.

Gdy się to dzieje, a strzały tatarów coraz częściej jakby na urągowisko pod nogi obłożonym padają, wszyscy jeszcze, wyraźniejszej czekając zaczepki, stoją w milczeniu.

Nagle ze wschodów bieży ktoś, w czarnej sukni, na dziedziniec, wpada między stojących i woła:

— Tu strzały świszczą, a wy stoicie jeszcze?

Na te wyrazy głośno wymówione, wszyscy się obracają nawet książę-wojewoda.

— Kto je wyrzekł?

— Panna młoda.

Ona zaplotła kosy, wdziała suknię żałobną, uzbroiła się w miecz, znaleziony gdzieś w opuszczonych komnatach, i pierwsza z zapalonem okiem bieży do działa, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski, do jej uszu dolatują głosy ich dzikie, widzi ich luki napięte, i szable błyszczące, i wozy i konie, i wśród tej zgrai wznoszący się namiot chana, który w blasku zachodzącego już słońca świeci się purpurą, rozpina się, siada i, z księżycem na czole, grozić się zdaje krzyżom kościołów i cerkwi.

Na ten widok staje księżna Beata, patrzy długo i myśli, i zdaje się, jakby się pocichu modliła. Wszyscy milczą, tylko Bohdan żarłok nabija działa. Księżna celuje niem, wyrывa lont zapalony z ręki puszkarza, przykłada...

I wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę. Za dymem nic nie widać — lecz wiatr zachodni rozpędza go.

Księżna Beata klaska w dłonie.

— Niema namiotu chana, księżyc złoty leży na ziemi, kula go obaliła!

Z obozu tatarów wrzask okropny słyszeć się daje, widać, jak się kupią i gromadzą i jak ruszają z nową wściekłością ku zamkowi.

— Księżno! — odzywa się ktoś z tłumu. — zabiłaś im chana, oni nas wszystkich w pień wytną.

Beata spojrziała w milczeniu z pogardą i kazała nabijać działa; a tatarzy, którzy się tak byli rzucili ku zamkowi, zaczęli zaraz ściągać się, kupić, nareszcie obóz łamać, wozy zaprzęgać i spieszenie dalej zagon popędzili.

A kiedy w oddaleniu przy księżycu widać już tylko było czerniejącą ich zgraję, księżna, otrząsając pył z sukni i ocierając czoło, zawołała do wojewody:

— Teraz czas do cerkwi!

— Idźmy! — powtórzyli wszyscy z zapalem.

Resztę wesela niech kto chce, opisze, ja nie mogę.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tatarzy-na-weselu/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Tatarzy na weselu*, Wydawnictwo Orędownika, Poznań 1915.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [Virginia State Parks@Flickr](#), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0468-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.